KUŹNICA

ORGAN MŁODEJ MYŚLI PAŃSTWOWEJ

1930 Warszawa Rok 3.

Nr. 4

15 — 30 kwiecień

Cena numeru 30 groszy

MY I GRANICE

§ 10. W myśl wielkich tradycyj Jagiellonów, Batorego i Żółkiewskiego Państwo Polskie znajduje swą misję w zorganizowaniu współżycia i współpracy narodów sąsiadujących z nami na wielkiem międzymorzu Bałtycko-Czarnomorskiem.

(z dekl. ideowej „Legjonu Młodych").

Jest obóz w Polsce — po imieniu nazywać go nie trzeba — który zagarnął monopol na wszystkie popularne w społeczeństwie i łatwe hasła, zadawalając się zresztą ich wykrzykiwaniem po placach i drogach publicznych i nie troszcząc bynajmniej o ich realizację.

Tego rodzaju popularnem hasłem jest „walka" z niebezpieczeństwem niemieckiem, walka, którą ów obóz głosi **urbi et orbi**, ale której bynajmniej nie prowadzi, a nawet której czy to rozmyślnie, czy przez wrodzoną głupotę szkodzi:

Mamy na myśli warcholstwo Korfantego anarchizujące ludność polską na Górnym Śląsku, oraz niepoczytalne ataki podrywające autorytet armji polskiej, na komisjach sejmowych przez pp. Trąmpczyńskiego i Dąbrowskiego, oraz w społeczeństwie przez obwiepolskich akademików nie umiejących uszanować ani święta swego pułku (36 p. p. **Legji Akademickiej)**, ani imienin Naczelnego Wodza Wojsk Polskich.

Oni uważają, że zażegnują niebezpieczeństwa grożące nam zawsze od zachodniej granicy, kiedy wypowiedzą kilka brzmiących frazesów i odśpiewają dziwnie lube dla ich ucha słowa **„...pluł nam w twarz"**.

Należy położyć kres tej demagogji. Całe realne zabezpieczenie od zachodu spoczywa dziś wyłącznie na barkach Wodza i na postawie stojącego pod jego rozkazami obozu. I to nietylko dla tego, że Wódz i obóz jego dążą do wzmocnienia siły wewnętrznej państwa i doprowadzenia do najwyższego poziomu jego mocy obronnej, ale dlatego, że stać ich na rozmachu szerokiej polityki, ogarniającej całokształt zagadnień państwowych.

Dalecy jesteśmy od głoszenia wojny z Niemcami. Sądzimy, że każdy rok pokojowego współżycia umacnia nasze granice. Ewentualna na naszą korzyść po zwycięskiej wojnie rektyfikacja linji granicznej w Prusach Wschodnich, nad Łebą i na Śląsku niewątpliwie nie opłaciłaby grozy, nieszczęść i ruin jakieby pociągnęła wojna.

Ale żeby do tej wojny nie dopuścić musimy być dość silni i dość bezpieczni na wszystkich innych frontach, aby żadna **rektyfikacja** granicy nie opłaciła się i Niemcom.

I nie ten broni Ojczyzny przed niebezpieczeństwem germańskiem, kto przy kuflu piwa fanfaronuje, jak to będzie pobrzękiwał szabelką po bruku Królewca, czy Berlina (zawsze ich podejrzewam, że mają kategorję D.), ale ci, którzy starają się zapewnić bezpieczeństwo kraju na innych granicach, a w szczególności na tym ogromnym obszarze, który się rozciąga od zatoki Ryskiej, aż po limany Dniepru.

Zainteresowanie nasze problemami wschodniemi, usiłują przedstawić, jako ustępliwość wobec Niemców, jako milczącą rezygnację z ziem zachodnich. Lecz dla nas **ziemie wschodnie i zachodnie Rzeczypospolitej są z sobą związane tak silnie, że niepodobna sobie wyobrazić zabezpieczenia jednych, bez jednoczesnego zabezpieczenia drugich** a Polska stawić może skutecznie czoło kolosowi germańskiemu tylko w tym wypadku, jeżeli oprze się krzepko, na silnie związanych patrjotyzmem państwowym z całością kraju ziemiach wschodnich.

Nierozumienie tego dylematu to nieszczęście, ale świadome jego lekceważenie i szerzenie tego lekceważnia w szerokich sferach społeczeństwa zakrawa już na zdradę stanu.

* * *

Tak zwana polityka Jagiellońska, która zresztą była naturalną polityką Polski od czasów daleko dawniejszych, nie była była bynajmniej spowodowaną mechaniczną niemożliwością rozprzestrzeniania się w kierunku zachodnim, ani tem mniej, jak chce „papierowy kochanek" endecji p. Roman Dmowski polityką interesu uszlachconych bojarów litewskich i ruskich. Była to mądrość rozumiema, że na dalekich kresach słowiańskich leży to źródło siły, które pozwoli stawić nam skutecznie czoło zalewowi germańskiemu.

Czyż potrzeba mnożyć przykłady historyczne? Czy trzeba przypominać, że monarchowie, którzy najskuteczniej walczyli ze Świętem Cesarstwem Rzymskiem Narodu Niemieckiego: Bolesław Chrobry, Władysław Jagiełło, Kazimierz Jagiellończyk, Batory (który poskramiając buntowniczy Gdańsk ostatecznie zabezpieczył dla Polski ujścia Wisły), czerpali moc swych poczynań na Zachodzie szczęśliwem rozwiązaniem zagadnień Kresów Wschodnich, w rywalizacji ze wzrastającą potęgą carów moskiewskich.

Czy tak nam łatwo przyjdzie zapomnieć, że trzeba było dopiero fatalnej krótkowzroczności „królewiąt" kresowych i wysługiwania się nietolerancyjnej, nie liczącej się z interesami Rzeczypospolitej polityce wyznaniowej Rzymu, aby doprowadzić do buntów kozackich, które ściągnęły ciągłe najazdy na wschodnią rubież Państwa i w rezultacie spowodowały rozbiory! Boć przecież, aby zahamowany pod Grunwaldem i Malborgiem najazd Pruski ruszył dopiero naprzód, kiedy dawno podgryziona została przez anarchję łączność wschodnich ziem Rzeczypospolitej z centrum kraju!

I dzisiaj nie należy się łudzić aby zagadnienie wschodniej Europy było ostatecznie rozwiązane. Dalszy rozwój bolszewizmu jest dla wszystkich jeszcze zagadką. Ale ważniejsze problemy sprowadza to, że linje graniczne przebiegają w poprzek żywego ciała narodów. Rzeczpospolita Polska pilniej, niż ktokolwiek śledzić musi za losami tych dziedzin **właśnie dlatego, że na Zachodzie ma niebezpiecznego sąsiada.**

Przewidująca polityka Piłsudskiego z lat 1918/20, której główne wytyczne zamknął zwycięski Wódz Naczelny w płomiennych słowach odezw Wileńskiej i Żytomierskiej, byłaby nas zabezpieczyła niewątpliwie lepiej, aniżeli wszelkie Protokuły Genewskie i Locarna. Potężna unja wschodnio-europejska pod egidą Polski, przez ujście Wisły i Niemna, jak kleszczami obejmująca **wyspę** wschodnio-pruską, poprzez Krym i państwa kaukaskie — których delegacje w 1920 r. prosiły o protektorat Najjaśniejszej Rzeczypospolitej — ogarniająca w swe wpływy morze Czarne, miała zapewnione lata potęgi i pokojowej pracy.

Niestety myśl ta nie przybrała kształtów realizacji. Padła nie pod ciosami armij bolszewickich, nie udławiona intrygą naszych wrogów, ale padła **wskutek małoduszności społeczeństwa zatrutego jadem endeckim.**

Mało tego, jakby w samobójczem zaślepieniu, obóz „narodowy", który aż do 1926 roku grał niewątpliwie pierwsze skrzypce w Polsce, uczynił wszystko, aby utracić dla Państwa Polskiego te ziemie, które Traktat Ryski włączył w orbitę Rzeczypospolitej.

W Małopolsce Wschodniej zamiast dążyć do zagojenia ran wojny 1918/19 roku pomiędzy bratniemi narodami polskim i ukraińskim zrobiono wszystko aby rany te rozjątrzyć. Nacjonalizm polski szedł w zawody z nacjonalizmem Undowców. Endecja pracowała tu w dosłownym wyrazu tego znaczeniu „pour le roi de Prusse". To samo robiono na Wołyniu, to samo na Wileńszczyźnie i w Nowogródzkiem. Zdawało się, że w jakimś obłąkanym szale obóz „prawdziwie patrjotyczny" robił wszystko, aby stracić te ziemie dla państwowości polskiej.

*

Dzisiaj wysiłki rządu Marszałka Piłsudskiego i jego obozu idą w kierunku naprawy tych szkód, jakie Polsce wyrządziła nieobliczalna polityka endecka. Ale nie idzie to tak łatwo. Są rzeczy, które się nie dadzą odrobić; zwłaszcza, że żerują jeszcze grupy społeczeństwa, zwłaszcza w Małopolsce Wschodniej, które dalej szerzą jad nienawiści narodowościowych.

Przykro wyznać ile tego jadu szerzy zwłaszcza młodzież akademicka.

A przecież pacyfikacja Kresów Wschodnich, ich głębokie powiązanie z Państwem, to dla Rzeczypospolitej kwestja życia i śmierci w zawsze możliwym konflikcie z zachodnim sąsiadem. Boć nie jest rzeczą obojętną, czy będzie można rzucić na szalę zwycięstwa pułki doskonałego, bitnego żołnierza kresowego, czy też przeciwnie na tyłach walczących wojsk rozpali się ruchawka irredenty, której nie umiała wczas zagasić nasza polityka.

Ale nawet jeżeli nie przewidywać tak straszliwych możliwości, to nie ulega wątpliwości rzecz jedna: że jeszcze w ciągu bieżącego stulecia będzie musiał znaleźć rozwiązanie problemat narodowościowy na Wschodzie Europy. A od tego, czy problemat ten zostanie rozwiązany w oparciu o nas, czy też przeciwko nam, zależy czy Rzeczypospolita Polska stanie się mocarstwem przewodzącem narodom na całym międzymorzu od Bałtyku do Bosforu, czy też zejdzie do rzędu środkowo-europejskich państewek zdanych na łaskę zmiennych fluktuacyj politycznych i tych czy innych konjunktur.

Niechaj więc nikt nam nie śmie powiedzieć, iż nie myślimy o zachodniej naszej granicy. Myślimy o niej szczerzej i skuteczniej, od fanfaronów, którzy rzucają śmieszne hasła o **Bałtyku, jako o wewnętrznem (?!) morzu polskiem**, i którzy protestują przeciw najdogodniejszym nawet warunkom umów między Polską, a Niemcami. Oni zaś sami jeżeli mają coś więcej w sercu aniżeli demagogiczny frazes, niechaj się lepiej zastanowią nad skutkami własnej roboty i przestaną kopać krecie nory pod zwartością moralną społeczeństwa polskiego. A jeżeli mimo wszystko jest wśród nich część, która patrzy z serdeczną troską na naszą zachodnią granicę, to niech ta część będzie pewna, że nasza **„wschodnia"** polityka nie tylko nie osłabi ich **„zachodniego"** frontu, ale w decydującym momencie radzi będą gdy poczują za sobą, mocne, liczne, i zespolone państwowo zaplecze.

—w. — ski.

POLACY NA OBCZYŹNIE

Idea narodowościowa w XIX-ym wieku wysunęła na czoło tego zagadnienia ideał własnej niepodległej państwowości. Wyzwolenie się z pod jarzma obcych zaborców, jeśli wyobrazimy sobie na chwilę kartę Europy, miało różne przejawy, ale było wspólne połowie dzisiejszych wyzwolonych narodów europejskich — od Tybru do Niemna, od Grecji do Finlandji. Ale wejście tych wszystkich narodów do zespołu państw nowoczesnych bynajmniej nie rozwiązało wszystkich słusznych aspiracyj narodowych, każdego z ludów uposażonych w pełne atrybuty suwerenności na ściśle określonem terytorjum. Poza granicami państwa narodowego pozostają ci, których bądź tradycja historyczna, bądź warunki ekonomiczne zmuszają żyć, pracować, wychowywać młode pokolenie i umierać — na obczyźnie.

Niema narodu na świecie, który zasklepiałby się w sztywnych i niezmiennych konturach geometrji geograficznej. W zaraniu dziejów mały i ubogi w ziemię naród grecki kreował niedościgniony dotychczas wzór ekspansji kolonizacyjnej, której szkielet materjalny dawno już w proch się obrócił, ale duchowe napięcie której przetrwało w każdem przeciwstawieniu cywilizacji — barbarzyństwu, Kultury — kulturalności. Nie jest tylko przywilejem wielkich tego świata narodów w dominjach zamorskich kontynuować świadomość wspólnoty rasowej każdego home'u ogniska domowego, ze zniczem praojczystym jednej metropolji, niegdyś kuźnicy tej ekspansji, dziś domu, koncentrującego jeszcze wszystkie jej nici, jutro może mauzoleum obronnego, tego, co jeszcze łączy najdalszych potomków świetnego rodu.

POLACY NA OBCZYŹNIE

(DOKOŃCZENIE ZE STR. 1-ej)

Proces przerastania przez ludność każdego narodu terytorjalnych granic jego pierwotnego osiedlania się jest zjawiskiem, uniwersalnem. Ogromny łańcuch przyczyn powoduje ten proces. Nas w tej chwili interesuje jeden ze skutków tego procesu. Skoro naród stanowi przedewszystkiem kulturalną jednostkę, czy może zrezygnować z utraty narodowej spójni z tym zagranicznym odłamem swoim? Tak charakterystyczne umiędzynarodowienie życia współczesnego nie w sensie niwelacji, lecz w kierunku równouprawnienia narodowości będącej w mniejszości gdziekolwiek, ułatwione środki wszelkiej komunikacji, uniwersalizacja zewnętrznego poziomu życia na całym globie ziemskim, — wszystko to podwaja wysiłki każdego narodu nad skupieniem swoich szeregów wbrew przeszkodom geograficznym i politycznym. Każde państwo prowadzi dziś coraz dokładniejszą statystykę obywateli swoich, zamieszkałych zagranicą i obywateli państw obcych, przyznających się do jego narodowości. Dla zorjentowania się jak wysokie bywają te cyfry nawet dla narodów „małych" warto stwierdzić, że naprzykład około dwóch miljonów Czechów i Słowaków mieszka poza granicami swej ojczyzny, w czem przeszło 1.200.000 w Stanach Zjednoczonych i 38.800 w Polsce.

Według sumarycznych obliczeń Polaków poza granicami Rzeczypospolitej przebywa stale około 8.000.000, z czego przeszło 3.000.000 przypada na Stany Zjednoczone, a w dawnem państwie carów nawet urzędowa statystyka sowiecka godzi się z istnieniem (w roku 1926) przeszło 780.000 Polaków. Już sam przez się problemat dokładnego statystycznego obliczenia tej części narodu naszego jest niezmiernie interesujący. Lecz daleko ważniejsze jest pytanie: jaką dla polskiej państwowej racji stanu posiada wartość ten cały odłam zagranicznych Polaków, bądź emigrantów, bądź obywateli państw obcych, na swojej historycznej ziemi od wieków zasiedziałych — w Łotwie, w Prusach Wschodnich, na Śląsku, w Czechosłowacji, na Bukowinie, w Ukrainie, Białorusi i Litwie?

Jest to potęga dziś jeszcze zapoznana i niezorganizowana. Zapoznana — we własnym kraju przedewszystkiem. Lekkomyślne skreślenie przez Sejm kredytów na szkoły polskie i inne cele kulturalne na obczyźnie, jest najlepszym symptomem beznadziejnej obojętności dla tych spraw w sferach politycznych, tak przeczulonych na punkcie obrony swoich specyficznych prerogatyw parlamentarnych i tak głuchych na wołanie i krzywdę wyzucia ze stokroć bardziej elementarnych praw ludzkich emigrantów polskich, delegatom, których w tej samej sali sejmowej w lipcu 1929 roku, na I-ym Zjeździe Polaków z Zagranicy zapewniano zewszą z kraju pomoc jaknajdalszą dla oświaty polskiej zagranicą!

Niezorganizowany zaś jeszcze należycie ten żywioł potęgą narazie potencjalną jest dlatego, że świadomość celowego skupiania się dla obrony swoich praw narodowych wśród obcych, dopiero kiełkować zaczęła... Zjazd o którym wspomnieliśmy i którego dzieło społeczne i doniosłość historyczna odzwierciadla „Pamiętnik" prac zjazdowych, wydany obecnie, — nakreślił wspólnym wysiłkiem działaczy zagranicznych i organizacyj krajowych na tem polu, najszersze ramy dla tej pracy organizacyjnej, która nie może być poza granicami Polski nikomu raz narzucona zgóry, ale wyrosnąć musi pod wpływem najgłębszej świadomości obowiązku i korzyści trwania przy odziedziczonej narodowości nie z heroizmem rezygnacji lecz z dumą współudziału w prawach wywalczonych nietylko dla trzech zjednoczonych byłych zaborów, ale i dla wszystkich Polaków zagranicznych.

Emigrant i „Polak mniejszościowy" — to ułamkowe definicje. Razem z określeniem wspólnem „Polaka zagranicznego" powstaje i mocy coraz większej nabiera nowy stosunek Macierzy do całego tego odłamu zagranicznego własnego narodu.

Poprzez dalsze cele — gospodarcze, kolonjalne, polityczne — widnieje cel najbliższy: łączyć, skupiać, organizować, umiłować — to, co jest! Nawołując do tego rodaków na obczyźnie — musimy w tej sprawie osiągnąć nie mechaniczny front jedności, co jest absurdalną utopją, zrodzoną z wstecznych koncepcyj szowinistycznych, lecz społecznych front zgody pod najwyższą komendą polskiej kadry niepodległościowej!

Kazimierz Zieleniewski,
red. „Polacy Zagranicą".

POLSKI MANDAT KOLONJALNY

Niejednokrotnie było już poruszane przez powagi naukowe i polityczne polskie zagadnienie kolonjalne odrodzonego Państwa. Sądzę, że nie powinienem przypominać, że wszystkie owe głosy brzmiały wspólnym akordem, że Polska nie będzie mogła zająć mocarstwowego, a należnego Jej stanowiska bez posiadłości zamorskich. Wprawdzie jeżeli chodzi o politykę morską i kolonjalną, co jedno stoi w ścisłym związku z drugiem, położenie geograficzne Polski jest dość niewygodne, nie zmienia to jednak postaci rzeczy, że trzydziestomiljonowe państwo, będące w zaraniu rozbudowy przemysłu i posiadające znaczny kontyngent emigracyjny, musi posiadać kolonję. Dość wyliczyć sprawę sprowadzania surowców, wywozu fabrykatów i skierowanie odpływu nadmiaru ludności.

Punkt ciężkości zagadnienia, z chwilą ustalenia konieczności posiadania kolonji, przesuwa się na wybór tejże. Jasnem jest, że liczyć można tylko na byłe kolonje niemieckie. Art. 119 Traktatu Wersalskiego mówi: „Niemcy zrzekają się na korzyść Głównych Mocarstw Sprzymierzonych i Stowarzyszonych wszelkich praw i tytułów do swych posiadłości zamorskich".

Posiadłości te, jako mandaty rozdzielone między zwycięzców, a Rada Ambasadorów wyznaczyła rok 1931, za termin ostatecznego ich przyznania poszczególnym państwom. A więc wartoby się zastanowić, czyby Polska nie mogła w spuściźnie po Niemcach otrzymać, której z ich byłych kolonij?

Największe posiadłości Niemców leżały w Afryce: Togo, Kamerun, Niemiecka Afryka Południowo-Zachodnia. (Kraj Damara i kraj Nama), Niemiecka Afryka Wschodnia. W Azji Kiau-Czau. W Australji: część Nowej Gwinei (t. zw. kraj cesarza Wilhelma), archipelag Bismarcka, oraz wyspy Palau, Marjańskie, Marszałkowskie i Samoa.

O Kiau-Czau niema nawet potrzeby mówić. W 1914 r. zdobyli je Japończycy i wspaniałomyślnie ofiarowali potem państwu Niebieskiego Smoka. Drobna to zresztą posiadłość o znaczeniu strategicznem. Co się tyczy australijskich to 1) ogromna odległość od metropolji i 2) mnoga ilość rozsypanych drobnych wysepek, wymagałyby licznej floty handlowej, coby się stanowczo nie opłacało, zważywszy nikłą wartość i rodzaj surowców (kokosowe orzechy, kopra, manilla).

Pozostaje zatem Afryka, ta Afryka, której mapa polityczna często zmieniała się w stosunkowo dość krótkim czasie. Ta część świata jest jakby stworzona dla ekspansji kolonjalnej. Wprawdzie dość późno się nią zainteresowano, bo właściwie dopiero rok o posiadanie jaknajwiększych terenów, jednak dziś Afryka na dwadzieścia dziewięć i pół miljonów km. kw., liczy prawie dwadzieścia osiem miljonów km. kw. pod panowaniem mocarstw europejskich. W pozostałe wchodzi naprawdę wolna Abisynja, właściwie zostający nadal pod protektoratem brytyjskim—Egipt i Liberja, państewko założone w 1923 r. przez filantropijne towarzystwo amerykańskie, które w dobie schyłku niewolnictwa chciało pokazać cywilizowanemu światu, że czarni potrafią się tak samo dobrze rządzić, jak i biali. Niepotrzeba dodawać, że państewko to cieszy się „opieką" Stanów Zjednoczonych, i że w historji Afryki żadnej roli nie odegrało.



Największą potęgą kolonjalną afrykańską jest Francja, potem Anglja, Belgja, Portugalja, Włochy i Hiszpanja. Do państw mandatarjuszów należą: Francja, Anglja i 1884 jest epoką, od której liczy się wyścig Belgja. Pominąwszy już samą chciwość ziemi, cechę wrodzoną jednostek i narodów, musimy wziąść pod uwagę i znaczenie polityczne jakie przywiązują te trzy mocarstwa do swych mandatów.

Kosztem Togo chciałaby Anglja powiększyć swoją posiadłość Złote Wybrzeże i posunąć się tem samem w kierunku swej jedynej (pominąwszy drobną Gambję) kolonji nad zatoką Gwinejską, jaką jest Nigerja. Francji, która dąży do wyłącznego panowania nad północno-zachodnią Afryką nie uśmiecha się pozycja Dahomej'u ściśniętego ciasno z obu stron przez posiadłości brytyjskie. Podzielono więc Togo na pół i prawdopodobnie ten stan rzeczy utrwali się na przyszłość. Na Kamerun najbardziej liczy Francja, albowiem przez zajęcie go uzyska bezpośrednie połączenie (przedtem przez rz. Ubangi i umiędzynarodowioną rz. Kongo) z Kongiem francuskiem.

Belgja także by chętnie powiększyła swe państwo środkowo-afrykańskie przez uzyskanie szerokiego dostępu do morza. Za cenę Gabonu zrzekłaby się pretensji do średniego Konga.

Idźmy dalej. Od Przylądka Dobrej Nadziei rozrasta się potężne dominium brytyjskie t. zw. Związek Południowo-Abrykański. Wprawdzie należą doń tylko Kraj Przylądkowy, Oranja i Transwaal i Natal, oraz Niemiecka Afryka Poł.-Zachodnia, jako mandat, jednak posiadłości brytyjskie jak: kraj Beczuana, Bassuto, Swazi, Obie Rodezje i Nyassa, są znacznie bliższe jemu niż metropolji. Wiemy wszyscy, jakie stosunki łączą Wielką Brytanję i dominia. Bezwątpienia przyjdzie czas kiedy oderwą się od niej zupełnie, to też Anglja mimo, że pełna kurtuazji, możeby wolała widzieć Afrykę Niemiecką należącą do kogoś innego niż do niedawnej kolonji?

Pozostaje jeszcze ostatnia była posiadłość niemiecka t. zw. Afryka Wschodnia (kraj jeziora Tanganika). Dla Anglji jest to ogromnie smaczny kąsek, albowiem łączy Sudan z posiadłościami Afryki Południowej i tą drogą posiadłaby prawie połowę Afryki od Suezu, aż po Kapsztadt (z Egiptem pozostającym pod jej silnemi wpływami).

Jak z tego widać szanse Polski, na uzyskanie kolonji po-niemieckiej nie są zbyt silne, wobec tarć interesów kolonjalnych dotychczasowych mandatarjuszy. Nie powinniśmy się jednak zniechęcać, ale stanowczo zażądać tego, co nam się z racji mocarstwowego stanowiska należy. Pocieszających jest w każdym razie fakt, że tak Francja, jak i Anglja wolałaby widzieć słabą kolonjalnie Polskę panią któregoś z byłych posiadłości niemieckich niż swoją odwieczną rywalkę. Za Francją jeszcze przemawia to, że w kolonji polskiej zyskałaby kraj podległy jej sojuszniczce.

Najłatwiej i najkorzystniej byłoby dla Polski otrzymać Kamerun, kosztem może zresztą pewnych ustępstw terytorjalnych, poczynionych Francji i Anglji. Kamerun liczy 781 tys. km. kw. (mandat francuski liczy 700 tys. km. kw., angielski 81 tys. km. kw.), a ludność jego wynosi 3.100 tys. mieszkańców (francuski 2 miljony). Stolica Jaunde. Długość linji kolejowych 160 klm. Kamerun jest wyżyną przeciętnie wynoszącą 500 metr. nad poziom morza, pokryty w znacznym obszarze podzwrotnikowemi lasami dziewiczemi. Nad brzegami kwitnie uprawa plantacyjna (ryż, trzcina cukrowa, bawełna, kawa), w głębi drzewo gumowe i palma kokosowa. Tubylcy pracowici i spokojni. Z dzikich zwierząt: słonie i lwy.

Niemiecka Afryka Południowa nie przedstawia tylu korzyści. Wprawdzie jest trochę większa od Kamerunu (836 tys. km. kw.), ale posiada znacznie mniej ludności (215 tys. mieszkańców) i jest w znacznej mierze pustynną. Tubylcy wojowniczy (słynne powstania Herrerów). Z dzikich zwierząt spotykamy: lwy, strusie i żyrafy.

Polska miałaby wdzięczne pole do pracy. Opłakane stosunki pozostawione przez Niemców nie zostały zbyt złagodzone rządami mandatarjuszów, którzy nie dokładali zbyt wielkich starań dla ugruntowania dobrobytu w posiadłościach, które będą im może cofnięte. Niemcy na grunt Afrykański przeszczepili swój system żelaznego biurokratyzmu. Urzędnicy przysyłani z metropolji byli nieudolni, hardzi i chamscy. To też wkrótce biurokratyzm musiał ustąpić militaryzmowi. Wyprawy Trofki w Afryce Zachod., Leiska w Kamerunie: Wissmana w Afryce Wschodniej wyrzynały nieraz w pień całe plemiona. Uczony niemiecki Karol Otto był nawet teoretykiem tych metod. **„Państwo nowożytne, mówił, popełnia wobec własnych obywateli najcięż-**

O władzę prezydenta Rzeczypospolitej

II. SPRAWA WYBORU PREZYDENTA.

W pierwszej części niniejszego artykułu sformułowaliśmy zasadę wyodrębnienia urzędu Prezydenta, jako nadrzędnego organu konstytucyjnego, oraz zwiększenia jego uprawnień. Przyjęcie powyższej tezy nadawać musi wielką doniosłość kwestji, w jaki sposób stanowisko to będzie obsadzane. Oczywiście z punktu widzenia formalnego są to zagadnienia zupełnie niezależne, jednakże niewątpliwie istnieje pomiędzy niemi bardzo ścisły związek polityczny.

Do tego, żeby zwiększenie władzy Prezydenta osiągnęło zamierzone cele — jest konieczne: 1) aby na czele państwa stała jednostka w całem tego znaczeniu wybitna i 2) aby Prezydent posiadał możliwie wysoki autorytet i poczucie niezależności, któreby mu „pozwoliło korzystać faktycznie z uprawnień, nadanych Konstytucją", jak się wyraża jedna z zeszłorocznych publikacji. Należy zatem zastanowić się nad tem, czy jakiś — i ewentualnie jaki — system wyborów sprzyja szczególnie spełnieniu powyższych warunków.

Możliwe są w tym względzie cztery rozwiązania: a) utrzymanie stanu obecnego, t. j. wybór przez połączone izby prawodawcze (system francuski); b) wprowadzenie t. zw. **Zgromadzenia Narodowego rozszerzonego**, w skład którego wchodziliby członkowie izb parlamentarnych oraz delegaci samorządu terytorjalnego i gospodarczego (projekty prof. H. Konica i Peretjatkowicza); c) wybory powszechne bezpośrednie (system konstytucji wejmarskiej); d) wybory powszechne za pośrednictwem elektorów (system Stanów Zjednoczonych). Propozycje te sprowadzają się do alternatywy zasadniczej: albo głosowanie powszechne albo wybory przez Zgromadzenie Narodowe w dotychczasowym składzie z ewentualną „domieszką" innych czynników.

Utrzymanie Zgromadzenia posiada szereg bezspornych stron dodatnich, z których wymienimy najważniejsze. System ten oszczędza krajowi wstrząśnień powszechnego głosowania, którego poważnych minusów nikt nie kwestionuje. Nie naraża kandydatów na poniewieranie ich nazwisk przez niesumiennych agitatorów, co mogłoby odstraszyć wiele wartościowych jednostek od ubiegania się o godność Prezydenta i podważałoby z góry powagę przyszłego elekta (o większości kandydatów dowiedzielibyśmy się zapewne, że „rozeszli się z żoną i żyją z żydówkami"; zła tego nie zdoła nigdy całkowicie usunąć trudny do wykonania pomysł specjalnych przepisów o ochronie czci kandydatów. Dalej — system ten jest znacznie bezpieczniejszy w momentach silnego rcznamiętnienia politycznego (grudzień 1922 i maj 1926).

Przejdźmy obecnie do rozważenia zarzutów, stawianych systemowi wyborów przez Zgromadzenie, które to zarzuty są jednocześnie argumentami za powszechnem głosowaniem. Wszystkie one sprowadzają się właśnie do dwóch tez następujących: 1) wszędzie tam, gdzie istnieją wybory powszechne (głównie Stany Zjednoczone), na czoło państwa wybijają się osobistości wybitne, o wyraźnym programie i energji w działaniu; tam natomiast, gdzie Prezydenta powołują izby parlamentarne (przedewszystkiem Francja), na stanowisko to wysuwane są jednostki „raczej przeciętne", a w każdym razie — kompromisowe lub słabe: jest to wynik obawy parlamentu przed „silnemi indywidualnościami", albo poprostu — owoc targów partyjnych; 2) Prezydent, wybrany przez członków legislatywy, chociaż formalnie od nich z chwilą wyboru niezależny, okazuje się jednak zwykle w stosunku do nich zbyt powolny i rezygnuje z samodzielnej akcji politycznej, gdyż, nie opierając swego urzędu na bezpośrednio wyrażonej woli obywateli, uważa się podświadomie za organ nie narodu, ale raczej parlamentu. Wobec tego — twierdzą zwolennicy głosowania powszechnego, do których i my się zaliczamy — wybory przez Zgromadzenie są życiowo **incompatibiles** ze zwiększeniem władzy Prezydenta, gdyż unicestwiają one wszystkie korzyści tej reformy.

Na to odpowiada znów strona przeciwna: zarzuty przeciwko instytucji Zgromadzenia Narodowego polegają w znacznym stopniu na nieporozumieniu. System ten istnieje zasadniczo tylko w tych krajach, gdzie są rządy parlamentarne; wyjątki pod tym względem są bardzo nieliczne (Wenezuela — system „prezydencki" obok wyborów głowy państwa przez parlament). Nic więc dziwnego, że we wszystkich państwach, a m. i. we Francji, na stanowisko Prezydenta nie kandydują natury bardziej czynne i energiczne, gdyż nie nadają się one do takiej roli czysto reprezentacyjnej i obrzędowej. Nic też dziwnego, że w państwach tych Prezydenci nie prowadzą własnej, odrębnej od parlamentu polityki, gdyż pozostawiają to z konieczności odpowiedzialnemu gabinetowi. Powodem tego, że tak właśnie postępować muszą, jest upadek Milleranda w roku 1924. Poincaré w jednem ze swoich przemówień w ten sposób określił sytuację Prezydenta Francji: „Prawo nakłada na Prezydenta obowiązki bierności... Obowiązki te dają się ująć w formułkę: milczeć i nie działać, gdyż tego żąda od niego Ojczyzna i Rzeczpospolita". Jakaż osobistość bardziej aktywna zgodzi się na takie stanowisko konstytucyjne! Spróbujmy — mówią zwolennicy Zgromadzenia — przyznać Prezydentowi Francji takie same uprawnienia, jakie posiada jego kolega w Stanach Zjednoczonych, a natychmiast na tem stanowisku zaczną się pojawiać jednostki równie wybitne, jak większość (bynajmniej nie wszyscy) następców Washingtona.

Na powyższe argumenty należy odświadczyć: **Point de illusions!** Porzućmy złudzenia! Niechęć, więcej — nienawiść szarego tłumu posłów względem każdego wybitnego męża stanu, nie mówiąc już o postaciach na miarę historyczną — jest tak silna, że zawsze przechyli szalę na rzecz kandydata, jak najmniej wybijającego się ponad przeciętny poziom izb parlamentarnych. Dodajmy do tego zazdrosną obawę o władzę. Dodajmy uporczywą awersję do uznania wielkości pomiędzy współczesnymi; pod tym względem o wiele bardziej trafny jest zdrowy instynkt szerokich kół zwykłych obywateli. Dodajmy wreszcie zastraszające załamanie naszego życia politycznego, stałe podporządkowywanie stanowiska programowego względom taktycznym (przykłady: 1) stanowisko PPS CKW w sprawie min. Czerwińskiego oraz w sprawie rzekomego podeptania nekrologu E. Niewiadomskiego przez pułk. J. Maleszewskiego; 2) stanowisko N.D. w sprawie min. Prystora) — a zrozumieć będzie łatwo, dlaczego — mimo wszelkich złych stron głosowania powszechnego, mamy większe zaufanie do ogółu obywateli, niż do zespołu parlamentarnego, nie rozumiejącego należycie swoich historycznych zadań i niedorosłego narazie do ich wypełnienia.

Dr. Feliks Janowski.

POLSKI MANDAT KOLONJALNY

(Dokończenie).

szą że zbrodni, skoro ulegając wpływom idei humanitarnych, oszczędza na szkodę własną plemiona murzyńskie skazane na wymarcie".

Zaprowadzono jednak pewien ład i porządek, pojęty zresztą czysto po niemiecku. Do Polski należałoby stworzyć takie warunki pracy dla emigracji i tubylców, aby z tych ostatnich uczynić „kolorowych" obywateli państwa polskiego, zaszczepić w nich drogą oświaty i dobrobytu miłość do przybranej Ojczyzny, w obronie której (jak to Algierczycy, Tunetańczycy czy Senegalczycy dla Francji) umieliby porwać za broń w chwili potrzeby.

Kazimierz Sieroszewski.

Perspektywy kolonizacji polskiej w Angoli

W końcu grudnia 1929 r. podpisany został w Lizbonie traktat handlowy polsko-portugalski, oparty na klauzuli największego uprzywilejowania, której działanie rozciąga się także na kolonje portugalskie. Zawarcie traktatu tego nabiera szczególnego znaczenia ze względu na zainteresowanie, jakie w społeczeństwie naszem budzi sprawa uzyskania przez Polskę kolonij, a przynajmniej obszernych terytorjów, nadających się do kolonizacji.

W ostatnich zwłaszcza czasach zaczęto się żywo tą kwestją zajmować; powstał Związek Pionierów Kolonjalnych, a Liga Morska i Rzeczna rozwinęła intensywną propagandę za przyznaniem Polsce mandatów kolonjalnych, skoro Liga Narodów przystąpi do ponownego ich rozdziału.

Nie wchodząc w ocenę możliwości zrealizowania tych postulatów, stwierdzić trzeba, że o ile bezpośrednie zdobycie przez Polskę kolonij zamorskich, nie byłoby w obecnej chwili rzeczą łatwą, to uzyskanie terenów pod kolonizację, szczęśliwie zapoczątkowane już w Peru, zdaje się wchodzić w stadjum realizacji.

W związku bowiem z zawarciem traktatu z Portugalją, stała się aktualną sprawa uzyskania przez Polskę terenów w kolonji portugalskiej w Afryce, Angoli, sprawa, na temat której toczą się już podobno nieoficjalne rozmowy. Wedle wszelkiego prawdopodobieństwa umowa co do ewentualnej koncesji polskiej w Angoli nie zostałaby zawarta przez Rząd polski, a powstałby w Polsce specjalny syndykat kolonizacyjny, któryby uzyskał koncesję od Rządu Angoli, gdyż Angola, jak i inne kolonje portugalskie, jest jednostką samorządną, podlegającą rządom gubernatora generalnego. Organizacja kolonji opiera się na t. zw. „Carta Organica de Angola" z r. 1928. Kolonja dzieli się na 12 dystyktów oraz 5 samodzielnych okręgów nadgranicznych. Każdy dystykt ma na czele osobnego gubernatora i dzieli się na z kolei na okręgi (circumseripção) pod zarządem administratora, te zaś na t. zw. placówki (posto). Jako ciało doradcze gubernatora generalnego z pewnemi prawami podejmowania uchwał, jednak nie o charakterze ustawodawczym, funkcjonuje Rada Rządu, złożona z 5 członków z urzędu (wyżsi urzędnicy administracji kolonjalnej), 6 z nominacji gubernatora generalnego i 6 z wyboru. W stolicy Angoli — Loanda — jest 13 głównych urzędów, stanowiących jakby osobne ministerstwo dla poszczególnych spraw administracji kolonji.

Jakie są warunki geograficzno-klimatyczne oraz stosunki gospodarcze Angoli? Jak wiadomo, leży ona na zachodniem wybrzeżu Afryki Południowej, obejmując obszar 1.250.000 km² (ok. 4.180.000 ha), z czego 120.000 km² przypada na wysoki płaskowyż, który obecnie jedynie wchodzi w rachubę, jako teren nadający się do kolonizacji, gdyż posiada klimat, umożliwiający egzystencję Europejczyków. Nie jest on gorętszy od klimatu Parany, do którego przystosowało się doskonale 120.000 Polaków, a zawdzięcza to należy silnemu rozrzedzeniu powietrza (wzniesienie płaskowyżu — 1500 — 1850 m. nad poziom morza). Niema tam wiosny, jesieni i zimy, a tylko lato, które dzieli się na 2 okresy: deszczowy i suchy. To też możliwem jest uzyskiwanie przy płodozmianie dwukrotnego plonu w ciągu roku.

Cały szereg płodów rolnych udaje się dobrze na wysokim płaskowyżu, a zwłaszcza kukurydza, pszenica, żyto. Plantuje się również ryż, fasolę, banany, bataty, ziemniaki, manjok, tytoń, dobrze obradza len, a bardzo dobre wyniki dają na całym wysokim płaskowyżu plantacje kawy, której uprawa jest nader rentowna. Rząd portugalski chciałby wytworzyć z Angoli centrum wytwórczości rolnej dla metropolji. To też w celu podniesienia dość prymitywnej gospodarki tubylców utworzono specjalny urząd rolniczy dla zbadania możliwości rolniczych kraju i ustalenia racjonalizacji produkcji.

Istnieją obecnie dwa zasadnicze sposoby nabywania ziemi w Angoli: 1) nabycie w drodze kupna koncesji już istniejącej. 2) uzyskanie koncesji od Rządu.

Koncesje na tereny rządowe mogą otrzymać obywatele portugalscy oraz cudzoziemcy i to tak osoby fizyczne, jaki prawne. Tereny rządowe dzielą się na 3 klasy: 1) tereny w obrębie miast oraz tereny podmiejskie, 2) wszystkie inne z wyjątkiem terenów 1 i 3 klasy, 3) tereny zarezerwowane wyłącznie dla ludności murzyńskiej. Koncesję otrzymać można tylko na tereny I i II kl. na podstawie: a) t. zw. „aforamento", na własność dzierżawcy; b) dzierżawy na okres oznaczony kontraktem, c) kupna.

Tereny II kl. leżą w odległości najmniej 5 km. od środka miasta i przeznaczone są wyłącznie dla celów rolniczych i hodowlanych. Tereny przyznawane są w rozmiarach 300 — 500 ha nowym kolonistom. 500 — 10.000 ha towarzystwom zagranicznym dla celów rolniczych, 10.000 — 50.000 ha wielkim przedsiębiorstwom. Wysokość czynszu od terenów ponad 1.000 ha wynosi 15 $ rocznie od ha, przyczem po latach 20 otrzymuje się koncesję definitywną. Obok koncesyj zwykłych istnieją jeszcze t. zw. specjalne, które mogą być udzielane w jakiejkolwiek części Angoli tylko przedsiębiorstwom hodowlanym na przemysł mięsny (bydło udaje się dobrze nie tylko na całym wysokim płaskowyżu, ale i na niższych płaskowyżach). Obszar przyznany nie może przewyższać 250.000 ha.

Jeśli się zważy, że wysoki płaskowyż jest wyposażony w 5 naturalnych portów, z których Lobito ma warunki zostania najważniejszym portem na południowo-zachodniem wybrzeżu Afryki, że porty te połączone są kolejami i drogami z centrum kraju, że problem dróg został pomyślnie rozwiązany (24000 km., z czego na wysoki płaskowyż przypada 20%), a główna linja kolejowa dochodzi do granicy Konga belgijskiego, otwierając szerokie możliwości zbytu produktów rolnych Angoli, to stwierdzić można, że kolonja ta posiada poważne widoki rozwoju, to też sposobność zdobycia tam dla Polski poważnej koncesji kolonizacyjnej nie może być żadną miarą pominięta.

Niewątpliwie istnieją terytorja, posiadające korzystniejsze od Angoli warunki naturalne i bogatsze w skarby kopalniane (Angola posiada wprawdzie pola diamentowe, prawo wyłącznej eksploatacji których przysługuje t. zw. **Companha dos Diamento**, ale co do innych bogactw mineralnych, to nie są one jeszcze zbadane), lecz jest ich coraz mniej, a zdobycie ich coraz trudniejsze, jeśli już nie wręcz niemożliwe. Wysiłki, jakie podejmowała Portugalja celem skolonizowania Angoli nie dały nigdy poważniejszych wyników. Świadczy o tem cyfra białej ludności, wynosząca, według statystyk z 1926 r. — 32.000 wobec około 2.500.000 tubylców. Na wysokim płaskowyżu zaś na 8700 białych przypada 636.000 murzynów. Uzyskanie zatem przez Polskę poważnej koncesji i wprowadzenie kilkudziesięciu tysięcy kolonistów mogłoby mieć duże znaczenie nie tylko gospodarcze, ale i polityczne.

A jak stwierdza kierownik ekspedycji polskiej, która w zeszłym roku zwiedzała Angolę, p. Fr. Łyp, Portugalczycy usposobieni są bardzo sympatycznie do polskich zamierzeń kolonizacyjnych na terenie Angoli, co ma — zdaniem jego — niemniejsze znaczenie od samych warunków naturalnych dla szans powodzenia naszej akcji. Można więc mieć nadzieję, że najbliższa przyszłość przyniesie częściowe ziszczenie postulatu, zmierzającego słusznie do zastąpienia naszej emigracji przez kolonizację, postulatu, którego szersza realizacja może mieć pierwszorzędne znaczenie, zarówno z punktu widzenia naszej ekspansji gospodarczej w krajach zamorskich, jak też i wzrost mocarstwowego stanowiska Polski w świecie.

E. Zaremba.

KUŹNICA LITERACKA

O PIŚMIENNICTWO ZDOBYWCZE

Artystyczne odtwarzanie czy przetwarzanie rzeczywistości — jeden z naczelnych postulatów literatury żywotnej — nie może i nie powinno być specjalnie, schematycznie wgraniczone w pewien, jakiemiś ramami lokalnemi — zamknięty teren. Stwarzanie artystycznej koncepcji życia nie należy świadomie zacieśniać. Owszem, umożliwiać i ułatwiać tym wszystkim poczynaniom, które w taki czy inny sposób rozszerzają lokalne ramy zamkniętego, zdawałoby się, terenu.

Państwowość nasza — sądzę — jest już na tyle skrzepła i uformowana, wewnętrznie i zewnętrznie skrystalizowana, iż powinna kulturalnie wyjść daleko poza granice organizacji politycznej.

Te wszystkie i wszelkie artystyczne funkcje życia — a literatura pierwsza przed innemi z racji wieloskonności ogarniania — nie mogą być wyłącznie przeznaczone ku pogłębianiu własnego, rodzimego a jednak płaskiego terenu. Rozumie się. Może istnieć i ta — rzekłbym skryta, wewnętrzna — forma doszukiwania się nowych dróg, zjawisk, przejawów. Lecz powinniśmy skierować bieg zewnętrznego doszukiwania się takich samych dróg, zjawisk, przejawów— na obszar, dotychczas nieświadomie, skutkiem niedogodnych warunków istnienia politycznego — zapoznawany.

Musimy wiedzieć i musimy jasno zdać sobie z tego sprawę, że państwowość polska nie kończy się na dzisiejszej granicy politycznej. Fakt istnienia i trwania daleko, daleko za granicami europejskiego skupiska tradycyjno-historycznego — wielkich mas Polaków — nasuwa pewne myśli, nakłania nas do działania, aby te odległe masy Polaków były promieniującemi pochodniami polskiej państwowości. I chociażby nie z własnej inicjatywy i nie z własnej rzutkości. Działaniem pewnych czynników pośrednio aktywnych na bierność tych mas — uaktywnimy, początkowo imaginacyjnie, a następnie faktycznie te masy.

Ku spełnieniu owej właśnie doniosłej roli dziejowej — należy użyć całego zasobu sił literatury żywotnej, z życia soki czerpiącej i przetwarzającej to życie w myśl pewnych artystycznych założeń.

Mamy poza granicami Państwa kilkanaście miljonów Polaków. Chodzi, aby tą liczną masę zapomocą literatury uaktywnić. We wszystkich czterech stronach świata, na wschodzie, zachodzie, południu, północy — w obramieniu takiego czy innego, obcego mechanizmu państwowego żyje i działa, przeżywa historję większa albo mniejsza garść Polaków. I właśnie, o tych większych albo mniejszych garściach Polaków nie trzeba zapominać. Niechże i oni dadzą część swych przeżyć do skarbu kultury ogólno-polskiej. A przeżycia te powinna na gorącym uczynku chwytać swem czułem okiem — literatura.

Tymczasem, rzeczywistość życia przerasta rzeczywistość artystycznych takich czy innych koncepcyj. Z pośród długiego szeregu twórczości polskich — dolę i niedolę, swe przeżycia Polaka obczyźnianego — ujął Sieroszewski. I to raczej — nie z nakazów pewnej, planowej pracy literackiej dla Państwa. Państwowość wówczas dopiero rodziła się w strzałach bojowców, stawała się mityczną choć proroczą wizją w genjalnej głowie Wyspiańskiego. Sieroszewski z Syberją związany osobistemi przeżyciami i sentymentem zesłańca. Zresztą — „przymusowa emigracja" na Sybir, przymusowe osiedlanie w moskiewskiej kolonji karnej było przed oczyma wszystkich, jako szczęśliwy nawet wynik woli nieugiętej niepodporządkowywania się pod żadnym względem najazdowi. Sieroszewski — odmalowując plastycznie udręki, gehennę cierpień wygnańczych — dotknął w istocie jednego jeno odcinka polszczyzny zagranicznej. Spełnił zadanie pierwszorzędne jako społecznik — przykuwając poprostu wzrok pogłowia ku Sybirowi, z drugiej strony, jako artysta wzniósł się na niesłychane wyżyny — rysując przepych i bogactwo miejscowej przyrody, kontrastującej żywo z tęsknotą za krajem.

A dziś, gdy organizacyjnie tworzymy wreszcie Państwo nie wolno nikomu, a więc i piśmiennictwu w pierwszym rzędzie — zapoznać wielomiljonowej Rzeczypospolitej na obczyźnie.

Polacy zagraniczni — to straż przednia kolonjalnego rozrostu Polski, w zupełności harmonizującego z przyrostem naturalnym ludności.

Słyszymy ciągle wokół utyskiwania na brak własnej literatury egzotycznej. A tu przecież nie o samą egzotykę chodzi, lecz o pewne społeczno-państwowe zadzierzgnięcie węzłów z życiem. Chyba, że w naszej, polskiej świadomości egzotyzmem tchną: Czechosłowacja, Rzesza Niemiecka, Francja, Rumunja, kraje nadbałtyckie i europejska część Z. S. S. R. A przecież tam mamy silne i ciekawe skupiska ludności polskiej w całym przekroju społecznym. Czemuż piśmiennictwo milczy? Z niecierpliwością czekamy na książkę Jana Wiktora z życia robotników polskich we Francji. Jak niezmiernie ciekawe i pożyteczne byłyby artystyczne przyczynki do emigracji do Niemiec. „Śmierć w słońcu" — Kossowskiego — właściwie unikat. A i tematycznie, o świadomie zwężonej rzeczywistością treści.

Na Europie przecież świat się jeszcze nie kończy. Współczesne życie Polaków syberyjskich, chińskich, tureckich, w U. S. A. Brazylji i Argentynie — czeka na swego autora, artystycznego przetwórcę. Dotychczasowych, nieudolnych wyczynów z chłopami polskimi w Brazylji — nikt na serjo traktować nie zamyśla.

Obok zaś winna rozwijać się na wielką skalę, idąc w parze z tworzeniem polskiej marynarki — marynistyka. Bo Salińscy, Rychlińscy, Dębiccy, Szarecy — raz, że jest ich niesłychanie mało a następnie, że tworzą prawie zawsze na marginesie zajęć zawodowych — skutkiem czego nie mogą należycie wywiązywać się z odpowiedzialnego pisarskiego obowiązku. Nie możemy zaś — dzisiaj — dopuścić do drugiej narodowej tragedji Conrada.

I jeszcze — bogata zawsze u nas literatura podróżnicza przynosić poczyna rewelacyjne wartości: umiejętność psychicznego wnikania w badane środowiska.

Trzeba jednak dokonać tych, tak pięknie i ponętnie zapowiadających się wysiłków— pewnego usystematyzowania, koordynacji pod kątem jasno wytkniętej myśli, że ekspansji politycznej musi towarzyszyć ekspansja kulturalna we wszelkich przejawach. A wówczas—gdy to dokona się: literatura będzie niekłamaną pomocą wszelkich poczynań państwowo-twórczych, stanie się naprawdę: zdobywczą, rozszerzającą nasz utarty horyzont, prowadzącą swojemi drogami i sposobami w dalekie kraje, które przemierza i przemierzać zawsze będzie zwycięska stopa Polaka.

Wawrzyniec Czereśniewski.

WIESŁAW WERNIC

Człowiek, który odszedł

Nie trwało dłużej, niż ułamek sekundy. Krócej od czasu potrzebnego na zmrużenie źrenic, szybciej od najszybszej myśli ludzkiej.

Stefan Klotz otworzył mokre od wody powieki, słony posmak w ustach wyjawił mu wszystko co było i co jest. Bełkot wielkiego przypływu dobiegał z ciemności. Czarna i duszna noc podzwrotnikowa, piasek nieznanego lądu i obcy, biały człowiek z dalekiego kraju, mokry, potłuczony, prawie, nieprzytomny. Szum fal tłumił wielki rozruch dziejący się gdzieś niedaleko, na górnych i dolnych pokładach „Alice" — Union Steam Ship Co. Ld. of New Zealand.

Gdzieś niedaleko musiały błyskać światła pasażerskich kabin, znaczył białą smugą morską pianę okrętowy reflektor. Klotz uniósłszy głowę nie dojrzał nic poza mrokiem. Dźwignął się ciężko z piasku. Widać okręt znajdował się dalej niż tego można było się spodziewać. Klotz chwiał się na nogach. W obolałej głowie przewalał się prawdziwy zamęt myśli i wrażeń. Jak to się stało?

Przed oczyma rozbitka przemknęły wszystkie wydarzenia długiej podróży. Stefan Klotz, nie Anglik, nie Francuz, nie Niemiec — polski robotnik. Jechał na północ, na zachód, na południe. W fabrycznej Łodzi obsługiwał sześć warsztatów tkackich. Był najczynniejszym ze wszystkich związkowców podczas wielkiego strajku włókienniczego. Skutek nastąpił — stracił posadę. Nie dlatego, że strajkował, broń Boże; znaleziono inne przyczyny i to znacznie później! Inspektorat pracy nic nie mógł podejrzewać.

Między utratą posady a pierwszą morską podróżą istniała przerwa kilkumiesięcznego, tułacza życia. Warszawa — Toruń — Gdańsk. Trzy najważniejsze etapy tego okresu. Z Gdańska przybył do Londynu, ukryty między belkami sosnowego drzewa. Teraz jechał pod pokładem „Alice", jedyny pasażer, o którego obecności nie wiedział nikt, za wyjątkiem pomocnika kucharza, dziwnem zrządzeniem losu, także Polaka.

Mijały skwarne dni i chłodne noce. Przegrubą szybę małego okienka widział Klotz skaliste zręby Gibraltaru, wody morza Śródziemnego, żółte brzegi Suezkiego kanału. Aż wreszcie nie wytrzymał i wyszedł pewnej, ciemnej, jak atrament nocy, na pokład. A wtedy... Klotz nie wiedział, jak to się stało. Czy okręt wjechał na rafę? Ugrzązł na mieliźnie? Okropny wstrząs zwalił z nóg podróżnych, jacy stali wówczas na pokładzie. Klotz, wychylony w pół ciała za burtę, przeleciał ponad żelazną poręczą. To było wszystko, co zapamiętał. Nie trwało dłużej, niż ułamek sekundy. Krócej od czasu potrzebnego na zmrużenie źrenic, szybciej od najszybszej myśli ludzkiej. Czas, który go dzielił od tej chwili mógł się zmieścić na przestrzeni jednej, dwu a może trzech godzin. Teraz zapewne „Alice", załatawszy naprędce uszkodzenia, pruła fale w odległości kilku lub kilkunastu mil. Jutro, dziś w nocy, spostrzeże kuchcik brak nieznanego pasażera, ale to już nic nie pomoże. Chwila obecna stała się jedyną podporą, jedyną nadzieją robotnika. Gdzie się znajduje? Z głębi lądu biegły doń nieznane szmery nocy. Inaczej wyglądała noc w dalekiej ojczyźnie. Ruszył powoli przed siebie. Piasek przestał zgrzytać pod stopami. Szelest chłoszczącej po nogach trawy, zatrzymał go w miejscu. Od morza dęły łagodne podmuchy wiatru. Klotz zauważył, że wiatr miał zapach i smak morskiej wody, że napełniał mu piersi, jakiemś nowem, nieznanem pragnieniem. Stał tak w miejscu chwil kilka. Nie trzeba było się śpieszyć. Nie warczały nad głową stalowe osie walców, nie wirowały przed oczyma drewniane szpule pełne białych nitek. Wielki spokój ogarnął robotnika. Przeszłość leżała pogrzebana, w proch rozpadła. Przyszłość wstawała niepewna, nieznana, nieprzenikniona. Co go oczekiwało? Co ma stać się jutro? Dzisiaj, za godzinę, za sekundę, w tej chwili? Zimny lęk wstrząsnął dreszczem ciało robotnika. Strach szaleńczy przed czemś nieznanem kazał mu stanąć na nadbrzeżnym cyplu i wołać w przestrzeń długo i mocno. Nikt nie odpowiedział. Od morza nie mógł przyjść żaden ratunek. Wyczerpany krzykiem upadł na szeleszczące pokrycie traw. Nie był pierwszym na tym lądzie. Rozbijały się tu niegdyś hiszpańskie galery, francuskie i angielskie fregaty krążyły koło tych brzegów. Nie był pierwszym z białych na tych brzegach, ale w żyłach jego nie płynęła krew anglosaskich zdobywców mórz, żaden z jego przodków nie podbijał lądów w armjach Napoleona ani nie walczył na statkach Wielkiej Armady. Był przedstawicielem rasy najmłodszej, ale nie pamiętał bojów toczonych w nadgoplańskich puszczach, nosił z niemiecka nazwisko, ale nie znał czynów Wikingów północy, dlatego właśnie leżał bezradny i bezwolny na miękkiej trawie nieznanej mu ziemi. Niebezpieczeństwo mogło przyjść w każdej chwili i pochłonąć go na zawsze. Nie wiedział, jak długo przetrwał w każdej chwili i pochłonąć go na zawsze. Nie wiedział jak długo przetrwał w tym stanie. Gdy powstał było jeszcze ciągle ciemno. O, gdyby można rozpalić ogień. Niestety, nie miał zapałek, zresztą i tak byłyby zamokły. Przeszukał kieszenie ubrania. Znalazł w nich kawałek suchego chleba i stalowy scyzoryk. Instynkt samoobrony począł brać górę nad przygnębieniem. Ruszył przed siebie. Pas nadbrzeżnej trawy nie był szeroki. Uszedł koło pięciuset kroków, gdy natknął się na pierwsze krzewy lasu.

Czarniejsza od nocy puszcza, stała posępna i milcząca. Posuwając się omackiem, natrafił na grubszą gałąź. Uciął ją scyzorykiem. Praca ta tak go wycieńczyła, że musiał usiąść. Teraz dopiero odczuwał wszystkie skutki fatalnego upadku. Poczuł głód. Wyjął chleb i wtedy przypomniał sobie, że dzisiaj, właśnie dzisiaj, na zachodzie, północy i południu starego lądu, kiedy pierwsza gwiazda zabłyśnie... Kuchcik po ukończeniu służby miał przyjść do jego kryjówki z prostokątem białego opłatka... To jest dzisiaj, tylko, że...

Ostrożnie obtarł chleb i przełamał go prawą ręką — lewej, potem zjadł do ostatniego okrucha. Rozejrzał się jeszcze raz dokoła. Ścisnął kij mocno w ręku i ruszył wzdłuż czarnej ściany lasu. Ciemność zakryła jego ślady, cisza wchłonęła szelest jego kroków. Stefan Klotz z myślą o starym kraju, szedł zdobywać ląd nowy.

Powszechny kodeks honorowy

Powszechny Kodeks Honorowy w opracowaniu p. Jana Gumińskiego, prokuratora Sądu Najwyższego jest poważnym krokiem naprzód w uproszczeniu tonących dotąd w formaliźmie, i średniowieczczyźnie zasad postępowania narodowego, według różnych pp. Pomianów i Boziewiczów.

Autor (a właściwie autorzy Kodeksu, bo jak nam wyjaśnia przedmowa, kodeks był dyskutowany przez specjalnie powołaną komisję) postawił sobie za zadanie:

„1) zniesienie pojedynków, jako formy satysfakcji honorowej; 2) zrównanie praw i obowiązków kobiet i mężczyzn w zakresie odpowiedzialności honorowej; 3) usunięcie zasad i przepisów, sprzecznych z duchem czasu...“

O ile dwa ostatnie punkty programu zostały w całej pełni osiągnięte w postaci szeregu zwięzłych i jasnych sformułowań, to żałować należy, że jeżeli chodzi o sprawę pojedynku kodeks uciekł się do kategorycznego zakazu § 14 (**„poszukiwanie zadośćuczynienia na drodze pojedynku jest niedopuszczalne“**) wytrącając się przeto z rąk osób (np. oficerowie służby czynnej i rezerwy), którym przepisy zwyczajowe w pewnych wypadkach nakazują żądanie zadośćuczynienia z bronią w ręku pod grozą nawet b. poważnych konsekwencyj.

Mamy wrażenie, że lepiej byłoby (jak podobno radzili, niektórzy członkowie komisji), mniej kategorycznie formułować odnośny paragraf: już bowiem sam duch kodeksu i wprowadzone przezeń b. pożyteczne innowacje, w postaci sądów honorowych merytorycznych, przyczyniłyby się znakomicie, do wyplenienia plagi pojedynków i gorszych jeszcze „pseudo-pojedynków“ z naszego życia publicznego. Purytanska krańcowość kodeksu wydaje nam się niezbyt fortunnem posunięciem taktycznem, które — spodziewamy się — zostanie zmienione w następnych wydaniach „Kodeksu“.

Nasuwa nam również pewne obawy przepis § 46, który, dając ogromne przywileje osobom używającym P. K. H., stać się może jednak podstawą do bezkarnej krzywdy ludzi, nie mogących z tych, czy innych względów przyjąć tego kodeksu za podstawę pertraktacyj. Natomiast jako wybitne zalety kodeksu oprócz jego prostoty wymienić należy odrzucenie wszelkiego przestarzałego balastu przy stwierdzaniu, kto winien być uważany za człowieka honoru (§ 2), a przedewszystkiem, niespotykane w innych dotychczasowych kodeksach postępowanie rehabilitacyjne, przewidujące przywrócenie do zdolności honorowej osób, które zasłużą na to swojem postępowaniem. §(§ 41—43).

Raz jeszcze zaznaczamy, że mimo wymienionych usterek P. K. H. jest dużym krokiem naprzód w porównaniu do dotychczas używanych kodeksów. Uważalibyśmy natomiast za rzecz wskazaną dla dalszego postępu w tej dziedzinie, aby **Liga Reformy Postępowania Honorowego,** z ramienia której jej prezes p. prok. Gumiński opracował swój kodeks zechciała opublikować materjały, o których wspomina w przedmowie, a w szczególności rezultaty ankiety, oraz pisemne wnioski swych członków.

---

[1]) **Liga Reformy Postępowania Honorowego.** Powszechny Kodeks Honorowy. Opracował **Jan Gumiński.** Warszawa — 1930. Nakładem księgarni F. Hoesicka.

KRONIKA AKADEMICKA

KRAKÓW

Wiec w sprawie pojedynków

Dnia 21 marca r. b. odbył się na Uniwersytecie Jagiellońskim wiec protestacyjny przeciwko pojedynkom. Wiec ten zgromadził we wspólnym froncie Młodzież Demokratyczną, „Odrodzenie“, socjalistów, konserwatystów, sodalicję, harcerstwo i pacyfistów przeciwko Młodzieży Wszechpolskiej. Blok ten **większością 260 głosów** przeciwko **100 głosom endeckim** wybrał na przewodniczącego kol. Smolca.

Po referacie kol. d-ra Frąckowiaka i ożywionej dyskusji, w której jeden z mówców, zarzucając młodzieży obwiepolskiej, że posługuje się hasłami religijnemi wyłącznie w celach demagogiczno-politycznych, przedstawił rodzajowy obrazek **„korporantów maszerujących z rapierami, przeznaczonemi do pojedynkowania się, w procesji Bożego Ciała“** — ta sama większość uchwaliła rezolucję przeciwko pojedynkom i postanowiła uznać za tymczasowy kodeks honorowy — kodeks harcerski.

Przebieg wiecu świadczy niezbicie, że, na terenie akademickim obwiepolo czerpie swe podstawy wyłącznie z rozbicia i nieruchliwości przeciwników i że znika tam, gdzie zdobywając się na wspólną akcję występują oni ze śmiałą inicjatywą.

WARSZAWA

Koncert — Bridge Legjonu Młodych

Dnia 5 b. m. w lokalu „Legjonu Młody[illegible] odbył się koncert-bridge. W części koncertowej, przy przepełnionej sali, brali udział pp. Roman Micewski, Emma Subrańska i Stanisław Podgórski (śpiew) oraz Henryk Małkowski (deklamacja), przy fortepjanie dyr. Jakób Hirszfeld.

Oklaskom i wywoływaniom nie było końca.

Po herbacie zabawa w przemiłym nastroju przeciągnęła się późno w noc.

Wzięła w niej udział między innemi niemal w komplecie, kolonja górali kaukaskich i Gruzinów, studjujących na naszych uczelniach, oraz p. Kisielkow (Bułgar), który porywał zebranych wspaniałemi improwizacjami na fortepjanie.

Mamy dane do sądzenia, że drodzy goście dobrze się czuli w serdecznej atmosferze Legjonu.

Piekło romanistów

Feljeton Boya pod powyższym tytułem („Kurjer Poranny“, z dnia 23 marca r. b.), który poruszył fatalny stan studjów na romanistyce Uniwersytetu Warszawskiego z winy kierownika tego studjum prof. M. wstrząsnął nareszcie opinję w sprawie, w której teroryzowana przez p. M. zupełnie niewybrednemi metodami młodzież akademicka nie ośmielała się dotąd zabrać głosu. O ile nam wiadomo, codziennie jeszcze napływają do p. dr. T. Żeleńskiego (Boya) listy romanistów potwierdzające jego zarzuty i zawierające całe szeregi nowych. Tem większem zdziwieniem przejąć musi każdego protest koła romanistów, stający w obronie prof. M., a tłomaczyć go można jedynie naciskiem moralnym jaki ten pan (nie cofający się przed załatwianiem swych prywatnych porachunków przy egzaminie) musi wywierać na członków zarządu, przeważnie bliskich już ukończenia studjów akademików. Odpowiedź pokrzywdzonych akademików-romanistów nie dała jednak na siebie długo czekać. Oto pismo opatrzone kilkudziesięciu podpisami:

„W numerze niedzielnym „Gazety Warszawskiej“ z dn. 30 marca r. b. ukazała się odpowiedź zarządu Koła Romanistów na feljeton pana Boya-Żeleńskiego z dn. 23 marca pod tytułem „Piekło Romanistów“. Odpowiedź tę przeczytaliśmy z niekłamanem zdziwieniem, gdyż zaprzecza ona rzeczywistemu stanowi rzeczy. Bez przesady rzec można, że większość młodzieży studjującej na sekcji romanistyki Pniwersytetu Warszawskiego jest jednomyślna w ocenie opłakanych warunków naszego studjum. Dlatego protest zarządu Koła Romanistów wywołał rozgoryczenie i zrozumiałe głosy protestu.

Wobec tej gołosłownej i niesłychanej w formie repliki oświadczamy, że p. Boy-Żeleński w swoim feljetonie wiernie zobrazował stosunki panujące na sekcji romanistyki, i że wszystkie wymienione w feljetonie fakty są zgodne z prawdą.

Wierzymy, że głosy skargi nie miną bez echa i że nasze słuszne postulaty znajdą zrozumienie u odpowiednich czynników. Reforma studjum romanistyki stała się zagadnieniem palącem, a jego rozwiązanie dać nam musi niedaleka już przyszłość“.

Wiadomo nam oddawna, kim jest prof. M. Niefortunnym kandydatem na polonistę, którego habilitacja została odrzucone, a projektowane „wielkie“ dzieło o W. Polu nie doczekało się dalszych tomów. Romanistą władającym tak słabo językiem francuskim i popełniającym takie błędy w wykładzie gramatyki, że studenci I roku (którzy nie zapomnieli jeszcze tego, czego ich uczono w szkole) śmieją się zeń po kątach.

Student biegle mówiący po francusku nie ma szans zdania przed nim egzaminu, a na wyjazdy do Francji z zasady p. M. nie wydaje zaświadczeń uważając, że: „co pan myśli, że się pan tam czego nauczy“, że raczej pobyt w tym kraju może zaszkodzić przyszłemu romaniście.

Sprawa p. M. nieuka i aroganta, jest najpoważniejszym argumentem przeciwko nieusuwalności profesorów Wyższych Uczelni. Władze państwowe nie mogą ruszyć takiego pana, który, co roku dostarcza krajowi pewną ilość z konieczności **niedouczonych** nauczycieli języka francuskiego. **Czy jednak koledzy-profesorowie, dbający o godność stanu profesorskiego nie są w możności wytworzyć w gronie swym atmosfery, w której dalsze przebywanie p. M. byłoby niemożliwe?**

LWÓW

Rozwój idei Państwowej

W listopadzie 1929 r. powstał na terenie wyższych zakładów Lwowa Akademicki Związek Polskiej Idei Państwowej. Zgrupowała się w nim młodzież, która postawiła sobie za cel wychowywanie młodego pokolenia w duchu wskazań Marszałka Piłsudskiego na obywateli, zdolnych do pracy dla Państwa, oraz rozszerzać państwowe idee Polski tak, by zdołały one opanować całkowicie, przyszłe pokolenia.

Momentem decydującym, który rozstrzygnął o powołaniu do życia nowego związku, było zdanie sobie sprawy, że w obecnej dobie istnienia Państwa Polskiego, wywalczonego krwią i tysiącami złożonych do grobu istnień, społeczność polska w ogromnej swej większości, jak starsza, tak i ulegająca wpływom starszej — młodsza, nie zdobyła się na sprecyzowaną ideę państwowości, lecz, podzielona na szereg grup i partyj o różnych zabarwieniach społeczno-politycznych, gubi się w bezideowych tarciach i wzajemnem zwalczaniu się. Czując całą doniosłość i odpowiedzialność za poczynania, których podjąć się będziemy musieli, stając już w niedalekiej przyszłości bezpośrednio przy warsztatach pracy, powiedzieliśmy sobie, że chcemy być do poczynań tych przygotowani, tak byśmy byli zdolni wyjść na spotkanie nowym czasom. Wyznanie wiary, jakie głosi nasza deklaracja ideowa, nie jest więc wobec tego zbiorem szumnych haseł i frazesów, ale konkretnym programem pracy, w pierwszym zaś rzędzie pracy dla Państwa.

Ogólnie, przynajmniej we Lwowie, utarło się przekonanie, że teren akademicki lat ostatnich to — „grunt jałowy“, a społeczność akademicka jest ideowo b. mało wyrobiona. Żywem zaprzeczeniem słuszności takiego poglądu jest Akad. Związek Polsk. Idei Państwowej.

Powodem pozornej bezideowości było jedynie to, że olbrzymia część młodzieży akademickiej nie mogła w istniejących już organizacjach znaleźć swojego odpowiednika ideowego. Nie pociągały jej ani hasła wszechpolaków z ich chimerycznemi pretensjami do reprezentacji ogółu młodzieży, ani też czcza gadanina innych związków o wyblakłych szyldach.

Najwymowniejszym argumentem jest zawsze mowa cyfr. Ona jest nieraz jedynym sprawdzianem działalności pewnych stowarzyszeń. Otóż na pierwszem walnem zebraniu Akad. Zw. Polsk. Idei Państw. było obecnych zgórą 200 kolegów i prawie wszyscy z nich do Związku tego wstąpili. Mimo szeregu trudności, jak brak lokalu w ciągu 3-ch miesięcy, Związek aczkolwiek nieznacznie, lecz stale się rozwijał. Z chwilą zaś uzyskania własnego lokalu życie w Związku poczyna toczyć się w żywem tempie. Nadana mu, odrębna od wszystkich innych stowarzyszeń akademickich, organizacja wewnętrzna zapewnia ma sprężystość i zwartość, co przy karności organizacyjnej zapewnia wysunięcie się młodego Związku na jedno z pierwszych miejsc wśród lwowskich organizacyj akademickich.

Deklarując zupełną niezależność, Związek ten dotąd nie brał gremjalnego udziału w życiu akademickiem Lwowa, ograniczał bowiem celowo swą działalność do pracy ideowej wewnętrz samego Związku, polegającej na urządzaniu odczytów, pogadanek i t. p.

Nazewnątrz silniej występuje jedynie w Akademickim Związku Strzeleckim.

Oddział lwowski Akademickiego Związku Strzeleckiego powołano do życia z inicjatywy kilkunastu kolegów, byłych wojskowych, na organizacyjnem walnem zebraniu w dniu 28 lutego 1929 r. Jako cel postawiono sobie zasadnicze zadania Związku Strzeleckiego, t. j. pomnożenie ogólne sił narodowych przez urobienie wśród młodzieży akademickiej karności, dzielności, jak fizycznej, tak też i moralnej, ducha obywatelskiego, w pracy społecznej, nakoniec, wykształcenie pod względem wojskowym, przy wyeliminowaniu zagadnień politycznych.

Do pracy przystąpiono natychmiast pod kierownictwem kol. Edwarda Oleksina, jako przewodniczącego Związku, i kol. Stanisława Balickiego, jako komendanta Oddziału. W dniu 28.IV.1929 r. stanął oddział w liczbie około 50 członków do normalnych zajęć P. W. i W. F. Od tego czasu re-

(dokończenie na str. 6-tej)

MIGAWKI

Na łamach endeckiego „Głosu Lubelskiego“, wystąpiła stała dostarczycielka nowel i wierszyków tego organu, niejaka Zoffja Gołembiowska z elukubracją p. t. „Dlaczego odeszłam od Legendy“.

Nie zajmowalibyśmy się tym nieprzytomnym bełkotem domorosłej „poetki“ dyktowanym rozdętą do niesłychanych granic megalomanją, gdyby nie bezczelne twierdzenie, że z otoczenia marszałka Polski otwierano przed nią w ramach naszego obozu perspektywy „bajecznej karjery“ i ona tę karjerę z pogardą odrzuciła.

Stawiamy dolary przeciwko orzechom, jeżeli pana G. wskaże nam choć jedną osobę mającą cokolwiek u nas do powiedzenia, którąby jej wróżyła „karjerę“.

Bowiem nietylko w mieszkaniu osób, które wymieniła w swym artykule, a do których się pchała proszona i nieproszona, ale nawet w środowisku akademickim, w którym się obracała nikt nie mógłby jej przepowiedzieć czegoś podobnego.

Panna Gołembiowska pętała się bowiem przy różnych akademickich organizacjach, w rodzaju „Postępówki“ i SHS'u (Stowarzyszenie Harcerskie Studentów) gdzie była tolerowana dzięki temu, że miała przemiłego psa, wyżła „Alfę“. Natomiast nigdy nie chciano jej dać żadnej choć trochę odpowiedzialnej roboty, tak mało budziła zaufania przez swą histerję i megalomanję. A jej wierszyki! pożal się Boże, toć lepsze umieszcza „Polska Literacka“.

Specyficzny był również jej stosunek do Komendanta. Typowo „bałwochwalczy“. Nic było to żadne głębsze, serdeczne uczucie, ale histeryczna egzaltacja, niemiła dla najszczerszych właśnie wielbicieli i najbardziej oddanych podkomendnych Marszałka.

Po wypadkach majowych w swej wyolbrzymionej ambicji myślała, że odegra jakąś „rolę“. Skoro się zawiodła odeszła i z tą samą egzaltacją z jaką skrobała swe wierszyki, miota dziś brudne obelgi z łamów „Głosu Lubelskiego“.

Ambicja i histerja zawiodły ją w swoim czasie do naszego obozu. Ambicja i histerja kazały jej odejść do obwiepolu.

Nie zazdrościmy wam, Panowie, tego nabytku. Nawet wśród was przecież nie sami są analfabeci.

Ciekawi tylko jesteśmy, co się stało, z „Alfą“. Pewnie zdechła biedaczka, z obrzydzenia do nowej inkarnacji swej pani.

Były kolega.

KRONIKA AKADEMICKA

(Ciąg dalszy)

gularne zbiórki odbywają się w każdą niedzielę, w porze letniej od godz. 7 rano, w porze zaś zimowej od 8-ej rano do 11-ej w południe. Szefem oddziału został mianowany kol. Maziarz Michał.

Oddział swą pracą wzbudził wśród młodzieży akademickiej niemałe zainteresowanie. Dowodem tego jest szybki wzrost członków. W dniu 10.VI. 1929 r. liczba ich doszła już do 104.

Rozszerzając zakres pracy, wprowadzono oprócz zajęć z dziedziny P. W. i W. F. referaty na temat ideologji związku Strzeleckiego, ściśle opartej na wskazaniach Pierwszego Marszałka Polski, Józefa Piłsudskiego.

O dalszych pracach obu wspomnianych wyżej związków, pozostających ze sobą na terenie Lwowa, w bardzo serdecznych i ścisłych stosunkach, powiemy obszerniej w następnym liściе.

W. K.

K! Prometea

Korporacja **Prometea** (Lwów), wystąpiła ze Związku Polskich Korporacyj Akademickich. Słuszny swój krok motywuje tem, że Związek pod płaszczykiem pracy korporacyjnej dąży coraz bardziej do tego, aby stworzyć kadry partyjnych bojówek. Wiemy, że są i inne korporacje, które nie solidaryzują się z tym kierunkiem. Należy się spodziewać, że odważny przykład **Prometei**, zachęci je do energiczniejszego wystąpienia.

Dla uczczenia imienin Marsz. J. Piłsudskiego, zbiegających się z drugą rocznicą założenia Korporacji, postanowiła ona złożyć ofiarę na ochronkę im. Marsz. J. Piłsudskiego i wezwała wszystkie inne korporacje do pójścia za jej przykładem.

Zwycięstwo Obozu Państwowego w Wyższej Szkole Handlu Zagranicznego

Nieliczna ale żywotna Bratnia Pomoc Studentów t. zw. „Eksportówki we Lwowie", która może chlubić się tem, że w ciągu 6 lat istnienia czterokrotnie dzierżyła prezesurę Centrali Samopomocowej wyszła znowu zwycięsko z natarcia jakie wykonał na nią obóz „Wielkiej" Polski.

Mimo niecofającej się przed niczem obstrukcji obwiepolaków zjednoczony obóz bezpartyjny pracy samoponocowej przeprowadził wszystkie swoje postulaty, wybierając zarząd pod prezesurą kol. **Fedarskiego** i odrzucając niemal jednomyślnie wniosek o przystąpienie do Miejscowego Komitetu Akademickiego.

Niefortunni wichrzyciele z pod znaku O. W. P. zostali ogromną większością głosów wykluczeni z obrad, a wszelkie zakusy zerwania posiedzenia zostały udaremnione przez energiczne przewodnictwo kol. **Stawińskiego.**

Eksportowcy raz jeszcze dali przykład, jak należy rozumieć ideę samopomocową tym pokrewnym organizacjom, które wolały się rzucić na grząskie ścieżki polityki.

POZNAŃ

Na marginesie gorszących zajść

Starcia młodzieży z policją w dniu 19 marca, celowo wyolbrzymione przez Obóz „Wielkiej" Polski i jego niewolniczą ekspozyturę N. K. A. w celach demagogicznych do zamiarów krwawej masakry, wykazały, że mimo wszelkie środki, jakich się obóz ten chwyta wpływy jego, do niedawna tak przemożne w Poznaniu maleją z dniem każdym.

I gdyby nie niedołęstwo, czy dwulicowość władz akademickich, które gdy **młodzież państwowo-myśląca chciała zorganizować samoobronę** przed ewentualnemi ekscesami zapewniły, że biorą na siebie i **gwarantują spokój** w czasie akademji — wogóleby do starcia z policją nie doszło. Młodzież prorządowa w Poznaniu, jak to okazała zarówno w okresie wyborów do NKA. jak i w parę dni po zajściach przed uniwersytetem z okazji wiecu protestacyjnego urządzonego przez Poznański Komitet Akademicki okazała przez swą zdecydowaną postawę, że posiada poważną siłę, z którą przeciwnik musi się liczyć. Wiec ostatni, o którym mowa odbył się tylko w tumulcie i zamęcie, w którym mówcy ledwie mogli przemawiać, a uchwalenie rezolucyj — i tak w formie daleko łagodniejszej aniżeli to zamierzali wszechpolacy — odbyło się wyłącznie przez stwierdzenie od stołu prezydjalnego, że zostały przyjęte, bo żadnego głosowania niepodobna było zarządzić.

Musimy tu podkreślić z głęboką troską, że **odpowiedzialność za coraz częściej powtarzające się ekscesy młodzieży akademickiej ponoszą w lwiej części senaty szkół akademickich**, które zamiast ostro się wziąć do rozhukanych burszów, traktują ich z niezwykłą—nasuwający podejrzenie, że względami partyjnemi dyktowaną — pobłażliwością. Z surowych, choć ojcowskich sędziów przeobrażają się ich Magnificencje, w adwokatów umiejących tylko protestować przeciwko rzekomej „brutalności" władz bezpieczeństwa.

Trochę więcej dbałości ze strony senatów o godność akademicką, a mniej gonitwy za tanią popularnością, a smutna konieczność interwencji ze strony organów bezpieczeństwa stanie się wogóle zbyteczną. Dzisiaj wiara w bezkarność zachęca młodzież do ekscesów, a Senaty znajdują słowa potępienia jedynie dla błękitnych mundurów, spełniających swój ciężki obowiązek.

Być może, że w ten sposób zaszczepia się „miłość" dla ciała profesorskiego, wśród pewnej części naszej studenterji, ale niewątpliwie **obniża się autorytet senatów akademickich** wśród poważnej myślącej części społeczeństwa.

Wzywamy wszystkich profesorów, którym leży na sercu powaga grona profesorskiego oraz godność powierzonych ich pieczy rzesz akademickich, aby przeciwstawili się prądowi demagogicznej popularności i przez stanowczą surowość położyli tamę wybrykom, doprowadzającym raz po raz do gorszących zajść między młodzieżą, a organami bezpieczeństwa.

Honor wyższych uczelni tego wymaga.

Wielkopolanin.

Redakcja umieszczając artykuł powyższy musi gwoli sprawiedliwości zaznaczyć, że nie wszystkie władze uczelniane zasługują na tą ostrą krytykę naszego korespondenta. Umiarem i powagą odbija naprzykład postępowanie J. M. rektora Hogera, którego akcja w sprawie analogicznych niemal do poznańskich zajść w Krakowie, zjednywa mu szacunek całego społeczeństwa.

ZAGRANICA

Uniwersytet dla cudzoziemców w Peruggji

Faszystowskie Ministerjum Oświecenia postanowiło od roku akademickiego 30/31 otworzyć specjalny uniwersytet dla cudzoziemców w Peruggji. Uniwersytet ten ma się wzorować na dawnej paryskiej **Guilde Intenationale.** Przewidywane są kursa jednoroczne i trzyletnie. Na razie mają być uruchomione dwa wydziały: języka i literatury włoskiej oraz ekonomiczno-społeczny. Przy przyjmowaniu na kursa nie będzie wymagane początkowe władanie mową włoską, a kurs jednoroczny nie żąda świadectwa dojrzałości. Opłata za naukę ma wynosić od 500—800 lirów rocznie, zależnie od wydziału i semestru studjów.

Stypendja dla Polaków w Limie (Peru)

Rząd peruwiański chcąc zachęcić do kolonizowania przez Polaków obszarów w głębi kraju nosi się z zamiarem ustanowienia dwóch, lub trzech stypendjów, w kwocie 80 dol. miesięcznie, na wydziale agronomji i leśnictwa uniwersytetu w Limie. Jest prawdopodobne, że stypendja te zostaną uruchomione już w roku przyszłym.

LIST DO REDAKCJI

Szanowny Kolego Redaktorze!

Czuję się zmuszony prosić Szanownego Kolegę Redaktora o umieszczenie kilku wyjaśnień na łamach „Kuźnicy" w związku z artykułem p. t. „Wasza Odpowiedź", który ukazał się w numerze 9 „Dnia Akademickiego" z dn. 8 b. m.

„Dzień Akademicki" oficjalny organ Myśli Mocarstwowej pozwolił sobie na niesłychany nietakt organizacyjny, podając cały szereg fałszów odnośnie organizacji odczytu P. Dr. Kazimierza Świtalskiego.

Stwierdzam iż nieprawdą jest jakoby „Głos Akademika" był kiedykolwiek organem oficjalnym „Legjonu Młodych" Akad. Zw. Pracy dla Państwa. W ostatnim numerze tego pisma wyraźnie to jest zaznaczone.

Nieprawdą jest że odczyt P. Dr. Kazimierza Świtalskiego nie był zorganizowany przez organizacje akademickie, gdyż odczyt ten odbył się wyłącznie z inicjatywy akademików grupujących się w „Legjonie Młodych" o fakcie tym zresztą na 2 miesiące przed odczytem był zawiadamiany kol. Jerzy Gedroyć, redaktor „Dnia Akademickiego" i Przewodniczący Komitetu Wykonawczego Myśli Mocarstwowej.

Nieprawdą jest że „Legjon Młodych" postawił „Myśl Mocarstwową" przed faktem dokonanym i że nie przedstawił planu projektowanej akcji gdyż o wszystkich wystąpieniach „Legjonu Młodych" był lojalnie informowany Przewodniczący Kom. Wyk. „Myśli Mocarstwowej" kol. Jerzy Gedroyć.

Przykro mi iż jeżeli chodzi o drugą część artykułu to muszą zakwalifikować ją jako zupełnie niepoczytalną, przykro mnie, tembardziej, że artykuł ten ukazał się w „Dniu Akademickim" którego redaktorem odpowiedzialnym jest kol. Jerzy Gedroyć, do którego mam duży szacunek, P. Jerzy Montwiłł artykułem swoim wykazał brak zupełnego poczucia łączności wśród elementów różnolitych zgrupowanych w naszym obozie a sam osobiście zdyskwalifikował się raz na zawsze jako członek obozu Marszałka Piłsudskiego.

„Legjon Młodych" to nie jest organizacja wyczekująca w przedpokojach ministerjalnych na poparcie oficjalnych czynników. Nie potrzebujemy szczęśliwie szukać protektorów, którzyby mścili się za obrazy skierowane przeciwko nam. Jesteśmy już na tyle silni, że sami potrafimy obronić się i będziemy zawsze z całą bezwzględnością tępili fałsz, i wszystko jedno gdzie i w jakich okolicznościach on na miejsce.

Nigdy „Legjon Młodych" nie będzie się chronił za ołtarz policji. Ostatni odczyt P. Dr. Kazimierza Świtalskiego wyraźnie stwierdza, że ochrona odczytu mimo ataku bojówek obwiepolskich, była zupełnie wystarczająca i zdobyła uznanie nawet u przeciwników.

Jestem głęboko przekonany, że niepoczytalne wystąpienie P. Jerzego Montwiłła, nie jest odzwierciadleniem poglądów obecnych kierowników „Myśli Mocarstwowej" i wierzę, że jedynie przez niedopatrzenie artykuł „Wasza Odpowiedź" dostał się na łamy „Dnia Akademickiego".

Jerzy Montwiłł nie może wpłynąć na ustosunkowanie się „Legjonu Młodych" do „Myśli Mocarstwowej" i jestem przekonany, że nadal będziemy ściśle współpracowali nad budową zrębów przyszłego obozu państwowo twórczego w społeczeństwie polskim.

Zbigniew Zapasiewicz
„Komendant Legjonu Młodych".

PS. Odpis niniejszego pisma wysyłam jednocześnie do redakcji „Dnia Akademickiego".

Nie udając się w szczegółową ocenę niesłychanego wystąpienia tych dziwnego autoramentu „sprzymierzeńców" nie możemy się powstrzymać od wyrażenia naszego zdziwienia z powodu przestrogi autora **„Naszej Odpowiedzi"** przed niepopełnianiem błędów „starych czterech brygad" kogo pan ma na myśli, panie Montwiłł? Przecież **czwarta** brygada to właśnie Wy.

Dziwnym nam się również wydaje spór o prawo własności do... osoby Mar. Piłsudskiego. Nie panie, M. Piłsudski nie jest niczyją własnością, ani pańską, ani naszą, ani żadnego „narodu". To panu **wolno** należeć do **Jego** obozu, ale też nie dziw się pan, że większe prawo moralne do powoływanie się na imię Komendanta mają ci, co nie czekali jak pan na rok 1926, aby opowiedzieć się dopiero wtedy za tym, który doszedł bezpornie do władzy.

Satis.

Red.

Redaktor odpowiedzialny i wydawca — Marjan Piotrowski. Redaktor naczelny Wiesław Wernic. Adres redakcji i administracji Aleje Ujazdowskie 37 m. 23 III p. tel.: 445 16.
Zakłady Graficzne Pracowników Drukarskich, Nowy Świat 54, Tel.: 15-56 i 242-40.